Lwow, 1 Maja. №51. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata rocznie 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycinny mód kwartal. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział. co za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazwe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział VI.

SCENY DOMOWE.

(Ciąg dalszy.)

Młodemi ludźmi byli Witołd i pan Artur Wenda. Tu będzie czas powiedzieć, że od ostatniego rozdziału naszego sześć lat przeskoczyliśmy, które z naszego bohatyra zrobiły dorodnego młodzieńca. Wyrósł, zmężniał, ale nie stracił z twarzy tego wyrazu, jaki na niej był od dziecka, wyrazu na pół marzącego, na pół natchnionego, wyrazu widocznej jego wyższości moralnej i umysłowej. Pan Artur Wenda w całej powierzchowności swojej był istnem Witołda przeciwieństwem. Jeżeli u tego w oku, twarzy i całym wyrazie wszystko było jasne, u tamtego wszystko było ciemne; prawdziwe to było odbicie wewnętrznych jego myśli i uczuć. Jeżeli Witołda można było porównać do anioła, Artur miał niezaprzeczone podobieństwo do szatana jak go nam przedstawiają, z całą pięknością kształtów, z dumą piekielną na czole, i z szpetnością szyderczego wyrazu.

— Spodziewam się ozwał się Artur, że pan szambelan Siarkowski, powinowaty i przyjaciel naszego rodu, nie pozwoli, aby mnie lada chłopak obrażał w jego domu.

— I właśnie dla tego że powinowaty i przyjaciel, skarze przykładnie tego który śmie znieważać kobietę.

— Ale o co wam rzecz idzie moi panowie! ozwał się znowu szambelan skrzywiony niepospolicie, bo był ogromnym nieprzyjacielem wszystkich scen gwałtownych, do których brakowało mu po prawdzie na należytej odwadze. Przy wszystkich swoich dobrych własnościach nasz poczciwy szambelan tchórzem był podszyty.

Dopiero rzecz cała wyszła na wierzch. Artur Wenda przybywszy właśnie w odwidziny do szambelana, od którego bardzo blisko mieszkał, przypiął konia do pierwszego drzewa, a sam szedł przez ogród, którędy w rzeczy samej bliższa prowadziła droga. Zdybawszy biegnącą tamtędy Rózię, nie mógł się oprzeć pokusie, i korzystając z samotności ogrodowej, porwał dziewczynę wpół, i pożądliwy złożył jej na twarzy pocałunek. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie; usłyszał to Witołd, który także przybył do Brzezin, i przyspieszywszy kroku, stanął w sam czas, by porwać pana Artura bez ceremonii za kołnierz, i oderwać go od biednej dziewczyny. Witołd był daleko silniejszy, nadaremnie więc Artur usiłował wyrwać się z rąk naszego bohatyra, który pełen jeszczcze naiwnych przekonań moralnej wartości każdego uczynku, pociągnął go za sobą, by oskarżyć przed szambelanem o taki czyn niegodny. Dziewczyna korzystając z chwili uciekła, a Witołd przybył do szambelana z jeńcem swoim.

— Głupi Donkiszot! ujął się za piękne pysio garderóbki; ozwał się szyderczo Artur, chcąc tę sprawę w śmiech obrócić, bo zrozumiał swoim światowym rozumem że nie nader korzystną odgrywa rolę.

— Dajcież pokój temu! przerwał szambelan, w którego pojęciu całus garderobianej dany, nie był zbyt wielkim grzechem. Pogodźcie się i kwita.....

— Ja z człowiekiem, który śmie znieważać słabą dziewczynę, dla tego że słaba i stoi niżej od niego.... nigdy!

— Ależ Witołdzie! mówił szambelan dobywając tabakiery.

— Ja z tym szubrawcem! krzyknął Artur! Nigdy!

— Panie Arturze! mówił szambelan, i zaambarasowany podał mu otwartą tabakierkę! Ty wiesz przecie że Witołd jest poczciwym chłopcem, którego ja i my wszyscy lubiemy.

— Podrzutek jakiś! pod płotem znaleziony!

— Ale fe! fe! panie Arturze! błagał szambelan zapychając nos tabakierą. Z resztą jeżeli jest uraza, może być i satysfakcya, dodał szczęśliwy, że wpadł na wybieg honorowy.

— Taki człowiek nie może mnie obrażać! zawołał Witołd, i rumieniec szlachetnego oburzenia wystąpił na lica.

— Satysfakcya! mnie z nim! przerwał Artur, patrząc pogardliwie na przeciwnika.

I spojrzeli po sobie z wyrazem takiej nienawiści, której powód musiał być głębszy od dzisiejszego zdarzenia.

— Widziałem wypadki satysfakcyi honorowej w której niezważano na urodzenie, ja sam raz w Turynie miałem zdarzenie... Ale niechcecie satysfakcyi, więc pojednajcie się się... podajcie sobie ręce.

— Ja podaję rękę tylko równemu urodzeniem.

— Ja tylko uczciwemu człowiekowi podam rękę.

— A to szalone pałki, krzyknął szambelan coraz więcej zakłopotany.

— Żegnam pana szambelana! ozwał się nasz bohatyr.

— Ustępuję pierwszy! zawołał Artur... Źle dosyć że

się muszę zdybywać w szlacheckim domu, z takim przywłoką!....

— Mityguj się panie Arturze! bo ja nie pozwolę, abyś mu uchybiał.

— Dosyć źle, żeście go przez pobłażanie wasze postawili w położenie że nam śmie stanąć w drodze.

— W drodze haniebnego postępku.

— Nie udawaj niewiniątka! niewiem kto komu staje w drodze... kto śmie podnieść oczy do panny dobrze urodzonej?...

— Co?.. krzyknął Witołd, i zaiskrzyły mu się oczy.

— Pan Witołd bez nazwiska, śmie się kochać w pannie Wolińskiej. Wiem ja o tem, mój ty przy mniszej furcie wychowany chamie.

— Kochać się?.. powtórzył cichym głosem Witołd, a na twarz jego wystąpił wyraz zdziwienia i przerażenia. Myśl ta nierozważnem rozbudzona słowem po pierwszy raz może stanęła mu widomie.

— Ale na tej drodze mój ty klasztorny bohatyrze, ciebie czekają baty, a ona będzie żoną moją!

— Twoją żoną! krzyknął Witołd głosem przeraźliwym. Lepiej by jej umrzeć przyszło.

— Żoną, tak żoną! rozumiesz chłopie! powtórzył Artur szyderczo, zaśmiał się głośno, i wyszedł z pokoju.

Witołd pozostał niemy i nieruchomy.

— Cóż ci chłopcze takiego? spytał po chwili szambelan, przestraszony nieco zmieszaniem swego ulubieńca..... mówże!

— Bo! tak! tak jest w istocie, ja czuję że ją kocham nad życie, kocham... nie jak siostrę!

— Nie gryź się! nie rozpaczaj! nie takie to ja już przebył rzeczy, żebym tylko mógł odgadnąć, do kogo jesteś podobny, i przypomnieć sobie czyja to miniatura na tabakierce.

Lecz Witołd już go nie słyszał. Roztargniony, przerażony do żywego, wyszedł z pokoju, dosiadł konia na którym przyjechał, i pomknął nazad do klasztoru. Szambelan po wyjściu Witołda mruknął do siebie:

— Z tem wszystkiem muszę też odwiedzić brygadierową. Dziwna rzecz że ona tego nie postrzegła.

Rozdział VII.

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

Wrażenie jakiego doznał Witołd było silne i okropne razem. I łatwo je zrozumieć, zastanowiwszy się nad usposobieniem exaltowanie szlachetnem Witołda, i nad jego położeniem, które pojmował doskonale, a mianowicie przeszedłszy myślą te koleje, jakiemi się rozwijało pomału to jego do Antosi przywiązanie. I nic dziwnego, że żyjąc tak z dnia w dzień, otoczony urokiem tego przywiązania jakie go otaczało w Słobódce, w tym niewinnym wieku pierwszej wiosny będąc, ani mógł rozmyślać nad uczuciem swojem. Było to dla niego zbudzenie tem okropniejsze, że mu przyszło w takiej chwili, od takiego człowieka i po takich okolicznościach, któreby najniewinniejszemu oczy otworzyć musiały,

— Miałżebym niegodną miłością moją być podobny do tego bezecnego Artura, który ją kochając niby, jak sam mówi śmiał zaczepiać i znieważać inną prostą dziewczynę?.. pytał sam siebie, i pięścią ścisnął piersi, jakby z nich chciał gwałtem wydobyć tajemnicę swego uczucia.

— Kocham! kocham! kocham! odpowiedział mu głos najwewnętrzniejszy jego serca, odpowiadała mu wyobraźnia poety, odpowiadała krew młoda po raz pierwszy burzyć się poczynająca.

— Kocham! ale jak siostrę!.. chciał wmówić w siebie i przypędziwszy do klasztoru, z oczami obłąkanemi wpadł do pracowni swojej, niezważając nawet na to, że przeszedł obok ojca Cyrjaka i ojca Dominika, idących razem, nie skłoniwszy się im nawet.

— Co temu chłopcu takiego? spytał ojciec Cyrjak, który ciągle piastował urząd gwardyjana, i brzuszek potężny.

— Nie widział nas, zajęty może jakim nowym pomysłem który chce rzucić na płótno.

— Źle to! bardzo źle!.. wysapnął dalej gwardjan. To malarstwo zawróciło mu głowę, i on kiedy jeszcze oszaleje.

Biedny ojciec Dominik spuścił oczy w dół i westchnął głęboko; nie żeby miał dzielić zdanie i obawę ojca Cyryjaka, ale nieraz przestraszała go wyobraźnia entuzyastyczna i zapalczywa młodego chłopca.

— Nie lepiej to było uczyć go czego innego, niżeli mazania pędzlem, ciągnął dalej gwardjan, który należał do ludzi z niczego niezadowolonych, tem słuszniej nawet, że od niejakiego czasu stracił dawny apetyt, i przestał trawić tak łatwo jak przed laty.

— Ale też jak ślicznie wygląda nasz kościołek i cały klasztor z refektarzem i kurytarzami; wszędzie jego pełno jest obrazków, i całe sąsiedztwo zjeżdża się, by się przypatrywać tym pięknym robotom człowieka tak młodego.

Na to nie miał ojciec Cyrjak nic do odpowiedzenia, bo ojciec Dominik dotknął jedyną stronę, jaka się jeszcze odzywała w otyłym i niedbałym gwardjanie, stronę ambicyi zakonnej, tej ze wszystkich ambicyi na świecie, najśmieszniejszej, najwięcej ograniczonej rzeczywistością, a przecie najzawziętszej i najuporczywszej. Mruknął więc tylko pod nosem..

— Tylko że wszystkie jakieś ciemne i smutne!..

— Natchnione bolem naszej patronki matki bolesnej, odrzekł ojciec Dominik, zawsze zręczny gdy szło o bronienie ukochanego wychowańca.

— Amen! dodał poważnie ojciec Cyrjak, i spróbował

się przeżegnać, co mu nie zawsze się udawało przy ciągłem jego zmęczeniu.

Gdy się ojcowie rozeszli, ksiądz Dominik pospieszył ku pracowni Witołda, bo nie był on sam tak spokojny, jak udawał na pozór. Zmieszanie niezwykłe na twarzy Witołda uderzyło go niepospolicie. Lecz co się Witołdowi rzadko trafiało, drzwi od pracowni były zamknięte, i on sam szybkim po niej chodził krokiem. Ojciec Dominik posłuchawszy chwilę, odszedł nie chcąc mu przeszkadzać w tworzeniu może nowego jakiego pomysłu. A przecież ścisnęło go za serce boleśnie, jakby przeczucie złego.

Pracownia Witołda od lat już kilku była obszerna bardzo i pięknem a stosownem obdarzona światłem. Kosztem szambelana przerobiono na nią jednę z wieżyczek narożnych klasztoru, w którym od lat niepamiętnych stary był lamus niby, ale zawsze próżny.

Do pracowni wbiegł Witołd, chcąc w niej przekonać samego siebie, że jego przywiązanie do Antosi jest czysto braterskie. Bo w tej pracowni, w której żył, myślał, czuł i pracował, od lat sześciu, a zatem od chwil prawie poznania Antosi, mieściły się wszystkie dzieje jego przeszłości, dzieje tego uczucia codzień wzrastającego od pierwszych wrażeń dziecinnych aż do chwili dzisiejszej. Na ścianach porozwieszane były obrazy, od pierwszych prób zacząwszy, a wszystkie były malowane pod wpływem tego uczucia niepojęcie silnego, jakie go wiązało do matki i córki. Jeżeli nie twarz cała jednej lub drugiej, to przynajmniej rys jakiś choćby jeden, wyraz twarzy, uśmiech ust, słodycz spojrzenia, rozrzucone po twarzach świętych, po scenach biblijnych, stanowiących większość jego zbioru, przypominały mu, jak się pomału nieznacznie te dwa anioły zdybane z łaski opatrzności na drodze wciskały w jego serce. I żywiej niż obrazy malowane przemawiały do niego wszystkie pamiątki tych myśli i uczuć, jakie w tej pracowni przeżył, bo on z tej pracowni wyjeżdżał lub wychodził do Słobódki, i ze Słobódki nazad do pracowni. Te pamiątki żadnemu oku niewidziane, a jemu widome, otaczały go i przesuwały się obok niego tak wyraźnie, a tak urocze żywemi barwami swemi.

I jak miłe i jak lube to były pamiątki. Bo też w rzezy samej te lat kilka przemknęło naszemu bohatyrowi jakby chwil kilka, jakby cicha i spokojna przejazdka po cichej wodzie w pogodny wieczór letni, przy świetle księżyca, który rodzi marzeń roje, stokroć piękniejsze od cudnej okolicy, blademi jego promieńmi tak fantastycznie oświetlonej.

Niespodzianie w dziecinnym prawie jeszcze wieku zdybało go przywiązanie dwojga istot nieznanych dotąd, ale przywiązanie tak czułe, tak wylane, o jakiem biedny chłopiec nie miał wyobrażenia, chyba czasem marzył coś podobnego o życiu w niebie, pomiędzy aniołami. Matka i siostrzyczka przybrane pieściły go miękką dłonią, i miękkiem sercem i najmiększem słowem: a te ich spojrzenia czułe, uśmiech pełen anielskiej słodyczy, a pocałunki dreszczą radości go przejmujące. Raz tylko w życiu zdało mu się że coś podobnego doznał, gdy uczuł pocałunek matki boskiej nad twarzą jego i zranionem czołem schylonej. To też pokochał ich Witołd nawzajem z całym zapałem swego poczciwego, do natchnień zdolnego serca. On by za matkę, on by za siostrę oddał życie, oddał całą krew swoją.

I jak szczęśliwie dobrane były usposobienia. Witołd od dziecka nie miał tej chłopięcej swawolnej wesołości, która potrzebuje się wyburzyć głośnemi ruchami. Cichy, więcej na zewnątrz zwrócony, do marzeń skłonny; bo już od dziecka trawiony wyższą myślą poety malarza, dziwnie stósował się do usposobienia pani Wolińskiej, więcej smutnego, jakie nabyła przez ciężkie życia przechodząc zawody. A monotonność jakaby się z takiego wyrobić mogła stosunku, przerywała żywsza nieco Antosia, swojem dziecinnem jeszcze weselszem szczebiotaniem. Ona była przy tej przejazdce na cichej wodzie wśród marzeń raju, owym skowronkiem wesoło pod niebo wznoszącym się, i zapełniającym czyste powietrze swym prostym, wiosenną radość budzącym spiewem. Dziewczynka im starsza się stawała, tem więcej poważniała, zachowując wszakże to swoje żywe usposobienie, które ją robiło najmilszą pieszczochą i matki i braciszka przybranego. Powagę jej stanowiło to uczucie jakie od pierwszej chwili miała do Witolda i ona widziała w nim wyższą i lepszą istotę, którego Bóg zesłał naumyślnie by pocieszał matkę, i by ją samą lepszą zrobił, podnosząc do wysokości swych uczuć i myśli. Chociaż żartowała nieraz z nim i do swawoli nawet pociągała, umiała się dziewczynka wstrzymać zawsze w czas, i pociągniona jego moralną przewagą, szła za nim chętnie w ten świat wymarzonych złudzeń, które on jej tak cudownie słowami, a jeszcze cudowniej pędzlem malował.

Było więc to życie raju na ziemi, rzadkie na świecie życie, które zawdzięczali oni wyjątkowemu położeniu swemu, i odosobnieniu w jakim pani Wolińska z gustu żyła. Łatwo pojąć jak biedna matka pokochała tego syna tyle lat opłakanego, a tak cudownie znalezionego; ona kochała go za teraz, za te lata, przez które nie mogła go obsypywać swemi macierzyńskiemi pieszczotami, i kochała go jeszcze więcej bo tą miłością swoją chciała mu wynagrodzić tajemnicę jaką zachowuje przed nim, a którą że zachować potrzeba, wewnętrzne jej mówiło przekonanie. Ona miłością bez granic przepraszała go niejako za to, że go okrada z słodkiego matki nazwiska. To jej przywiązanie tak silne do znalezionego syna, nie zmniejszało wszakże w jej sercu poczciwem uczucia, jakie miała do Antosi. Ona ją kochała przez pamięć na pociechę jakiej doznawała przez czas gdy własnego niemiała dziecka; kochała ją przez wzgląd na przywiązanie jakie dziewczynka miała dla Witołda, i jego dla niej nawzajem, ona ją kochała przez myśl nawet może jaką na przyszłość, z której by nowa dla niej wyrość mogła pociecha, nowe zaświtać szczęście. A Witołd

jak ich kochał oboje, tego żaden wyraz oddać nie jest zdolny, bo miłość w duszy tak zapalczywej, tak natchnieniem i poezją przypełnionej, dochodzi rozmiarów ogółowi zimnemu niezrozumiałych. On nieraz zrywał się po nocy i biegł do kościoła, i klękał przed ulubionym matki boskiej obrazem, i zgłębi serca wołał do niej:

— Dzięki! dzięki! dzięki Ci!

Więcej nie był w stanie wymówić, ale jego myśli czyste i czyste uczucia szły prosto do nieba. (C. d. n.)

NA SOBNIU. *)

Zawitaj znów pamiątko sędziwego K m i t y,
Witaj w stoletniej jodeł przybrana koronie
I siny Ł o p i e n i k u w śnieżystej osłonie
I S a n i e co P o ł o n i n odzwierciedlasz szczyty!!..

O witaj mi zameczku bluszczami owity!
Jak mi w tobie przeszłości cudny obraz płonie;
Znowu mię sześciu wieków wspomnienie owionie,
Jagiełły ujrzę obraz w granicie wyryty!!!....

O jak lubo w tej górskiej podumać ustroni!
Tu ledwo wietrzyk muśnie po Sanowej toni,
Lub orzeł jakie pióro ze skrzydła uroni!!..

Spuść się orle co krążysz gdzieś na Połoninie,
Wstrzymaj się Sanu falo co szemrzesz w dolinie,
Powiedzcie przychodniowi o waszej dziedzinie!
Orzeł w górę zawrócił, chyżej fala płynie....
1855. A. z S. K.....

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY I WYCIECZEK PO KAUKAZIE.

(Ciąg dalszy.)

Czem bardziej zbliżaliśmy się ku południowi, tem więcaj oswajałem się i zaznajamiałem z białemi szczytami, co dniem bielały jak białe obłoki, a wieczorem po zajściu słońca odbijały jego porpurowe blaski, aż nareszcie całe przybierały kolor fioletowy i ciemniały zupełnie w pomroce nocnej.

Na noclegach i dniówkach zajrzałem do opisów tych gór, do geologicznych i topograficznych źródeł, jakie mogłem mieć pod ręką: nie wiele wtedy ich jeszcze się znajdowało. Lecz później, staraniem i z rozporządzenia ks. Worońcowa istniejąca kommissya tryangulacyjna pod kierunkiem pułkownika gen. sztabu Józefa Chodźki, brata naszego autora Obrazów litewskich, wymierzyła Kaukaz i kraj zakaukazki z drobiazgową prawie akuratnością. W r. 1850 pułkownik Chodźko, w skutek rozporządzenia namiestnika Kaukazu, odbył wyprawę na Ararat, wspólnie z kilku innemi współczłonkami i 60 ludźmi niższego stopnia, z narzędziami geodezyjnemi, dla oznaczenia głównych punktów i wymierzenia kątów sieci trygonometrycznej. Od 6go do 12 sierpnia zabawił pułkownik Chodźko na Araracie, dokonawszy wszystkich prac zamierzonych i opisawszy różne jego strefy. Sam Kaukaz prawie w szczegółach zbadany, opisany o ile jest dostępny, i od niebezpieczeństw pewny. Jest karta pięknie odkolorowana, wyobrażająca przecięcie podłużne całego pasma kaukazkiego, stosunkową wyniosłość wszystkich jego szczytów, wysokość źródeł różnych rzek kaukazkich, nareszcie pochyłość ich spadku, względnie do powierzchni wód morskich. Nie zastanawiamy się nad temi szczegółami, które byłyby tu zbyteczne i zadługoby zatrzymały czytelnika na jednem miejscu: ogólną tu tylko zrobim wzmiankę o kształcie łańcucha kaukazkiego, tak wiele różniącego się od gór europejskich.

Wszystkie niemal góry europejskie: Alpy, Pyreneje i Karpaty, od dolin tylko są dostępne; w dolinach tylko mieszkańcy uprawiają rolę, hodują stada bydła i owiec, śród dolin kwitną zamożne sioła. Inaczej zupełnie dokonana budowa Kaukazu. Od ostatniego jego zachodniego punktu, gdzie leży twierdza Anapa, aż do krańca wschodniego, nurzającego się w wodach kaspijskich, ciągnie się nieprzerwanym grzbietem, którego pochyłość północna szeroka na mil 10, z początku spada bystro, dalej formuje płaską wyniosłość, poczem znów się podejmuje i kończy się nad równiną stromemi ustępami, znanemi pod nazwiskiem g ó r C z a r n y c h, od czerniejących na nich niebotycznych lasów, któremi wszędzie są prawie pokryte. Główne tylko wyniosłości kaukazkiego systemu, jakoto: E l b o r u s i K a r b e k wystąpiły naprzód ku północy.

Taki ogólny widok Kaukazu od północy. Wpatrzywszy się bliżej w jego kształty, spostrzeżemy, że północny bok jego spada piętrami, czyli stopniami, tworzącemi obszerne nieraz pochylone płaszczyzny, do 3,000 metrów nad powierzchnią morską wzniesione. Płaszczyzny te poprzerzynane w rożnych kierunkach głębokiemi i ciasnemi jarami, z urwistemi brzegami, przedstawiają, że tak powiem górne stepy pod niebem, odznaczające się bogatemi pastwiskami i żyzną ziemią; zabezpieczone swem górnem położeniem przeciw postronnej sile. Podczas największych upałów, wypalających prawie wszelką roślinność na równinach, dostarczają one najbujniejszą paszę dla trzód i nieochybne żniwo dla rolnika. Jary zaś krające na wielkie kawały te stepy, są niezmiernemi przepaściami; boki ich pokrywają bujne krzewy różnej nazwy miejscowej. Na spodzie zaś tych jarów, po kamykach i skałach pienią się burzliwe górne potoki, dające początek kilku głównym rzekom kaukazkim.

Taka postać północnej pochyłości Kaukazu, daje nam pojąć trudności zdobycia tej części gór. Wkraczająca bowiem armia, zajmując stopniowo wyżyny, wstrzymywaną

*) Ruina zameczku niegdyś Kmitów w ziemi Sanockiej.

bywa w swych postępach przez owe przepaści, tamujące mianowicie marsze kawaleryi i artyleryi. Zdarzało się, że półtory lub dwie doby nieraz było potrzeba, aby dostać się z jednego wyniesienia na drugie, nie więcej nad 7 wiorst odległe, a oddzielone takim jarem, i zdające się przez złudzenie tuż o kilkanaście tylko sążni leżeć przed nami. A ileżto pracy wojsko musiało podjąć dla przejścia tych 7 wiorst, ileż razy na barkach żołnierze dźwigali działa i jaszczyki! Już tam ustawała siła i pomoc koni; zwierzę było bezużyteczne. Człowiek sam sobie tu musiał wystarczać, na swych barkach dźwigając wszystko, czego mu potrzeba było do odzienia, wyżywienia i obrony. Czasem jeszcze koń góralski na swym grzbiecie dźwigał juki z potrzebniejszemi sprzętami i żywnością, póki gdzie w przepaść z całym pakunkiem nie runął. Człowiek zawsze pewniej od zwierzęcia sam sobie wystarczał.

Lecz inny ma charakter południowa pochyłość Kaukazu: począwszy od Anapy, wzdłuż brzegów morza Czarnego, aż do Gagrów ciągnie się drugorzędna odnoga skał łupkowych, rzadko wyższych nad 1,000 metrów od powierzchni morza. Tylko skały, choćby je nie pokrywały lasy, będą czyniły niedostępnemi miejsca ponad morzem Czarnem leżące. Lecz od Gagrów począwszy, gdzie rozpoczyna się główny łańcuch, ku wschodowi ciągnie się długi szereg wzgórz, poza któremi tuż sterczą niezmierne wyniosłości, lodami i śniegiem bielejące, zamykając przystęp do środkowych tajemnych miejsc Kaukazu.

Pod względem geologicznym w następnym porządku idą po sobie różne tych gór szeregi. Od północy: p i e r w s z e n i z k i e p r z e d g ó r z a, rozgraniczane płaszczyznami; następnie p a s m o w a p i e n n e cokolwiek wyższe od tamtych. Za niem następuje p a s m o ł u p k o w e z dosyć wysokiemi górami; dalej najwyższe s z c z y t y w i e c z n y m p o k r y t e ś n i e g i e m, poza któremi znowu idzie pasmo południowe s k a ł ł u p k o w y c h, wyższe od północnego z ogromnemi płaszczyznami; dalej bardzo płaskie p a s m o w a p i e n n e, a następnie p r z e d g ó r z a p o ł u d n i o w e.

Lecz niepodobieństwem opisać mnostwa minerałów i ich rozmaitości, jakie zawierają w sobie te szeregi. I tak: p r z e d g ó r z a p ó ł n o c n e składające się z czerwonawej gliny, lub piaskowca, mają w sobie siarkę, magnezyą, cząstki ałunu i koperwasu, selenitu i t. p. minerały, należące do gór trzeciej formacyi; wypływają też z nich źródła słone i sączy się w wielu miejscach olej skalny, czyli nafta.-

P a s m o w a p i e n n e p ó ł n o c n e, powstaje wyłącznie z biało-żółtego wapiennika, podobnego do marmuru. Obszerne górne jego płaszczyzny pokryte są po większej części gliną; pomimo śladów żył, rud żadnych tu nie napotkano.

P ó ł n o c n e p a s m o ł u p k o w e, z pokładem ołowianym, mającym w sobie srebro, tudzież piryty miedzi w kwarcu i żyłach szpatu, obfituje rudami, mianowicie w ziemi Osetinów, gdzie są urządzone od r. 1850 w wąwozie Alagirskim kopalnie srebra.

S z c z y t y g ó r ś n i e g o w y c h, których najwyższe wierzchołki są Elborus, Karbek, góra Bezimienna i inne, w ciągu całego roku wiecznym pokryte są śniegiem. Stanowi je granit różnego kształtu i koloru, leżący warstwami odpowiedniemi warstwom, jakie nam przedstawia przecięcie tego łańcucha na drodze wojenno-gruzińskiej.

P o ł u d n i o w e p a s m o ł u p k o w e, zawiera w sobie, oprócz górnego łupku, grube ziarna zielonego porfiru, rogowiec brunatny, siarczyk ołowiu, piryt miedziany, piryt arszenikowy i jaspis.

P o ł u d n i o w e p a s m o w a p i e n n e, z zachodniej części zawiera gatunki jaspisowe na przestrzeni kilku wiorst ułożone; płaskie wierzchołki jako też boki, są pokryte żółtą, czerwoną i błękitną gliną. W pasmie tem nadto znajdują się: mika, czerwony, żelazisty kamień, piaskowiec siarkowy, kwarc mleczny, szpat polny, koperwas żelazny, ochra, margiel, żyły krzemieniste z żelazniakiem i sandarakiem, piryty arszeniku i krwawnik.

P r z e d g ó r z a p o ł u d n i o w e powstały po większej części ze skał piaskowych, przechodzących w równiny, kamienne i piaskowe od południa, a gliniaste od zachodu. Zawierają nadto w sobie wszelkie gatunki piaskowca, czerwono-brunatny jaspis, mikę, margiel, kwarc, zeolit, ochrę, błękitną żelazną i zielonawą glinę i węgiel kamienny, którego kopalnie w kilku już miejscach urządzone zostały.

Godne są uwagi i podziwienia kaukazkie lasy, pokrywające mianowicie przedgórza północne i zapełniające niziny i wąwozy. Tu rosną odwieczne dęby, buki, wiązy, jemioła i olcha. Na pasmie wapiennem też same dają się postrzegać drzewa; lecz na północnem pasmie łupkowem, panującemi drzewami są sosny, brzozy, a niekiedy cis pospolity. Południowe góry łupkowe takież pielęgnują drzewa jak i północne. Południowe wapienne pasmo pokrywa się dębem, bukiem, wiązami, jabłoniami, gruszą i t. d. Lecz przedgórza południowe już nie tyle obfitują w lasy jak północne; ale za to podostatkiem tu drzew owocowych: gruszki, śliwy, drzewa pigwowe, migdałowe, trześnie, brzoskwinie; nie mniej jak buk zwyczajny biały i czerwony, wiąz, orzech, głogi, tarnina, sakłak i inne krzewy alpejskie pokrywają boki różnych pasm. Jałowiec krzewi się tak na północnem jako i południowem pasmie łupkowem do średniej jego wysokości.

(C. d. n.)

Najnowsze dzieła.

DIABEŁ.

Powieść z czasów Stanisława Augusta, przez Kraszewskiego.

(Dokończenie.)

Biedna Anna przerażona widokiem podczaszyca, którego niespodziewała się widzieć tak nisko upadłym. Djabeł Fotofero

nierad zupełnie z tego schronienia, które go zbliża do ducha dobrego, namawia podczaszycą, aby się przeniosł w inne miejsce, które on dla niego przygotował. Podczaszyc niekoniecznie przystaje, bo się budzi w nim uczucie dawne do Anny, i to tem mocniej, im więcej w tem jego położeuiu zdaje się być przesyconym całym tym kałem w jaki się zanurzył. Fotofero nalega, straszy nawet, że go tam odkryją, i omal już nie zwyciężył, gdy go nagle wypędza przybycie kapucyna ojca Spiridiona, domowego Sinińskich przyjaciela. Jako djabeł prawdziwy czmychnął na widok staruszka świątobliwego, którego autor przedstawia nam jako typ prawdziwego kapłana, biegnącego z pomocą i radą chrześciańską wszędzie gdzie go wzywa jego obowiązek. Z rady ojca Spiridiona chowa się podczaszyc w klasztorze kapucyńskim, i tam naturalnie nudzi się najokropniej. Ojciec Spiridion korzysta z tego aby go nawrócić na prawą drogę; ale podczaszyc za nadto jest jeszcze zepsuty, za nadto przesiąkły lekkiemi naukami Labego i świata w którym żył. Rozpacza niby, ale raczej za światem i jego uciechami, których mu żal. Z resztą wieści jakie go dochodzą, że Rybiński nie umarł, ale mocno leży ranny, ulżyły trochę jego sumieniu, które jedno może by go mogło przerobić. Smutne wszakże są jego myśli, gdy sobie przypomni całe bezużyteczne życie swoje i stratę całego prawie majątku, zagrabionego przez lichwiarzy. Djabeł Fotofero nieśmie pojawić się w klasztorze, ale niezapomina o podczaszycu którego chce ratować, aby go raz wydobyć z miejsca świętego, i dla jakichsić planów jakie ma z Cerullim, które nam autor nie wyraźnie podaje. Zdaje się tylko że obydwa należą do loży wolnych mularzy, i chcą użyć podczaszyca, aby gdy się zupełnie zniszczy i zepsuje, mógl im pomagać w tumanieniu ludzi.

Fotofero tedy zadaje sobie pracę, aby go raz wydobyć z klasztoru, bojąc się mianowicie, aby podczaszyc pod wpływem ojca Spiridiona nie nawrócił się. W tym celu stara się załagodzić sprawę z Rybińskim, który już przychodzi do zdrowia, jakoś za pomocą Cerullego, który się na nowo i to sekretnie pojawia w Warszawie, i za przewodnictwem jenerała, a nawet trafiają do samego króla, który bierze na siebie płockiego biskupa, kuzyna Rybińskiego. Głównie zaś, aby nie stracić swego djabelskiego nad Ordyńskim wpływu, stara on się rozbudzić nową jakąś namiętność. Zmiarkowawszy jego przywiązanie wzmagające się do Anny, puszcza w świat pomiędzy rozpustnych paniczów wieść o nowej piękności ze wsi przybyłej, którą kochanką Ordyńskiego być mieni. Młodzi i nie młodzi rozpalają się mianowicie gdy zobaczyli piękną Annę. Najzawziętszy między niemi podkomorzy Brański postanawia uwieść Annę. Wzywa do tego madame Szwędzkę, typ czysto francuski intrygantek, mianowicie w sprawach miłosnych. Typ ten w cale nie nowy, bo sto razy w powieściach francuskich napotykany, żywo jest przez autora oddany. Szwędzka udając pobożną i cnotliwą, otumania całą rodzinę Sinińskich, mianowicie pana Kaspra, któremu na starość zapala się głowa do przystojnej jeszcze a bogatej wdówki, za jaką Szwędzka się udaje. I przychodzi nareszcie do tego, że Anna idzie do niej w najlepszej wierze; ona zaś pod różnemi pozorami zawozi ją do domku (petite maison francuskie) jaki posiadał podkomorzy, umyślnie na intrygi miłośne przeznaczonego.

Tymczasem sprawa z Rybińskim już załagodzona; i długi podczaszyca okazują się nie tak bardzo wielkie, by pochłonęły cały majątek, mianowicie w tej chwili, kiedy przychodzi wiadomość o śmierci matki Ordyńskiego. Podczaszyc dowiedziawszy się o tem wszystkiem, znudzony życiem monotonnem w klasztorze, wylatuje z radością na ten świat, który go zgubił. Fotofero pojawia się jako prawdziwy djabeł wiedząc o wszystkiem co się dzieje, donosi mu o zawiezieniu Anny do domku podkomorzego. Ordyński wpada do podkomorzego w sam czas, aby uwolnić Annę, i chociaż diabeł namawia go, aby ją zatrzymał w swoim już dla niego przygotowanym i urządzonym domie, odwozi ją do zrozpaczonego ojca. Podczaszyc wpadłszy na nowo w zamęt zabaw, rozpusty i gry, zapomina o uczuciu jakie się rozbudziło w sercu jego do Anny, czyli raczej chce je zgłuszyć życiem jeszcze więcej roztrzepanem niż pierwej. Djabeł zwraca naumyślnie uwagę jego na kochankę Cerullego. Julia śliczna ciałem, ale szkaradna duszą zajmuje go. Jest to istny djabeł w sukni niewieściej; podobnych typów jest mnóstwo w powieściach francuskich. Porzuciła ona męża niejakiego Kozłowskiego, który oszalał z rozpaczy, i chodzi teraz od domu do pomu z łysą swą głową i obłąkanemi oczyma, szukając żony, która przez wiele już przechodziła rąk, nim dostała się do włocha Cerullego. Podczaszyc podżegany przez djabła zapala się coraz więcej do niej i nareszcie kupuje ją od Cerullego za tysiąc dukatów, które musi już pożyczyć na ogromnę lichwę, bo już na nowo życie wystawne a gra mianowicie rujnują go na piękne. Julia sprowadza się do niego, i na wieczorku umyślnie dla niej urządzonym przez podczaszyca, wieczorku odwzorowanym z tylekroć opisanych biesiad rozpustnych za czasów rejencyi we Francyi, pojawia się w całem swem zepsuciu, jako istota kapryśna, zgangrenowana moralnie do najwyższego stopnia. „Łagodność dziecięcia, surowość sędziego, powaga królewska, zalotność dworska, wesołość wiejskiej dziewczyny, chmurne oblicze smutku wdziewała jak maskę, i jak maskę zrzucała, tak że trudno było powiedzieć czem była w istocie,“ powiada autor. Podczaszyc najnieszczęśliwszy w pożyciu z nią, bo wnet owładnęła nim do tego stopnia, że porozpędzała jego przyjaciół i nawet finanse w swoje wzięła ręce, puszcza się w szaloną grę u Cerullego, któremu jest już winien wielkie sumy; jednego wieczora przegrywa wszystko, i aktem urzędowym odstępuje włochowi cały swój majątek, dom w mieście i wszystkie sprzęty:

sam zaś postanawia zabić się czując się znudzonym i przesyconym do najwyższego stopnia.

Tymczasem wielkie odmiany zaszły w domku Sienińskich. Pan Kasper przekonawszy się o fałszu Szwędzkiej zapada w słabość i umiera. Nie znajdują po śmierci jego żadnych pieniędzy, chociaż wszyscy byli przekonani że musiał mieć skarb jakiś ukryty. Z ostatnich chwil jego miarkując, zdaje się być prawdopodobnym, że skarb w kominie schowany. Ojciec Anny, niemniej od brata skłonny do chciwości, podnosi płytę w kominku, znajduje skarb ogromny rzeczywiście ale w skutek wzruszenia i natężenia, zapada w słabość i umiera także. Anna zostaje dziedziczką ogromnych pieniędzy, bierze do siebie jakąś wdowę poczciwą i porządną, a urządziwszy swój domek na lepszą niż pierwej stopę, rozmyśla nad sposobem ratowania podczaszyca, ale nadaremnie.

Podczaszyc tedy idzie topić się. Przechodząc przez ulicę Bednarską zagląda do oświeconego okna w dworku Anny, widzi ją, przypomina sobie całą przeszłość, którą stracił samochcąc; kilka łez dobywa mu się z oczów, ale ustala się tem więcej w postanowieniu swojem, nie widząc nawet sposobu, jakim by mógł zostać przy życiu straciwszy wszystko. Lecz opatrzność ratuje go, bo djabeł jakoś go stracił z oczów, zaszył się się gdzieś przez ten czas, i już się więcej nie pojawia. Na moście w Pradze, gdy chciał się już rzucić do Wisły, zdybuje go ojciec Spiridjon, idący do chorego z wiatykiem. Zatrzymuje go, prowadzi z sobą do umierającego, którym jest właśnie mąż Julii, i zabiera nareszcie z sobą do klasztoru. Słowa ojca Spiridjona pełne wyższej moralności i wiary, wywierają wielki wpływ na podczaszycu, który postanawia iść do wojska, niemając już co robić w Warszawie. Po latach kilku, przebywszy wszystkie wyprawy z Kościuszką, podczaszyc wyleczony z szału młodzieńczego, nowej nabrawszy czerstwości w życiu ciągle zajętem, wraca nasz bohatyr do Głuszy, którą Anna swojemi pieniędzmi oczyściła, i żeni się z nią.

Ostatni obrazek powrotu do rodzinnego domu, stojącego pustką, ślicznie i żywo oddany przez autora. Żal ich ściska za serce na widok poniszczonego przez czas i ludzi pałacu.

— Chodźmy ztąd kochana Anno, powiada Ordyński co przeszło nie powróci! my myślmy, byśmy sobie nowe i trwalsze zbudowali jutro; łzy nasze nie odżywią tego, co na wieki umarło.

Piękne te słowa dające się zastósować tak do życia prywatnego jak i publicznego, jakie przebył podczaszyc, kończą powieść.

Rozmaitość.

* Zapowiedziany koncert odbył się pozawczoraj w dosyć licznem zebraniu. Rozpoczął się nową uwerturą kompozycyi Józefa Schürrera tutejszego kapelmistrza orkiestry teatralnej. Myśl tematowa wyrażająca pragnienie niezaspokojone, tęsknotę miłości zręcznie przeprowadzona. Flet powtarzający melodją tematową trafnie użyty. Szkoda tylko iż orkiestra nie była mocniej obsadzoną. Panna K. wystąpiła w śpiewie z warjacyą z opery: les diamans de la Couronne i w mazurku: tęsknota Nowakowskiego. Głos świeży, dźwięczny, w wyższych tonach już bardzo wyrobiony. W trudnej nadzwyczajnie warjacyi pierwszej podobała się powszechności i rzęsistemi oklaskami okrytą została. Dwie piosnki na tenor odśpiewał pan Biegel, mąż tutejszej pierwszej śpiewaczki opery. Pan B. ma dosyć głosu a co więcej, śpiewać umie. Przyjmowany więc był mile od słuchaczów. Resztę koncertu zapełnił młody Alexander Bogucki grą na fortepianie to solo to w towarzystwie orkiestry. Już to gdy rznięte lub dęte instrumenta towarzyszą fortepianowi, gra i najlepsza nie może zrobić wrażenia. Chociaż tak Kalkbrenner jak i Thalberg, których utwory grano, starał się samemi staccatami i pizzicatami wtór zapełnić, zawsze jednak dęty i rznięty ton ma wyraz, który przenosi tony fortepianowe i trzeba nadzwyczajnej siły aby się przebić przez wtór taki. O grze młodego Boguckiego tyle powiedzieć możemy że z największą łatwością przezwycięża najzawilsze trudności, że dziś już jest panem samowładnym całej mechaniki fortepianowej a jak nas grając z orkiestrą przekonał, utrzymuje takt dokładnie i z taką pewnością jakby stary wyćwiczony muzyk, który z orkiestrą długie grał lata. Teraz mu trzeba rozbudzić w sobie zapał, życie, aby ten zapał, to życie tchnąć mógł w grę swą. Dziś jeszcze w wykonaniu jest zupełnie biernym; odgrywa jedynie wypisane nuty, nie zgłębiając dostatecznie ich wyrazu, nie uwydatniając dokładniej melodyi, zważając mało, gdzie tempo przyspieszyć, gdzie zwolnić. Tak np. w drugiej części fantazyi Thalberga z Somnambuli zwolnieniem tempa nie podniósł wyrazu tego utworu, jak przeciwnie za szybką grą w walcu Kąckiego mącił melodją. Ojcu radzilibyśmy, by więcej samodzielności zostawił synowi, by wypuścił go z szkoły, ktora w grze jego zimnem uderza, a dozwolił rozwijać się fantazyi, duszy młodzieńczej a wtedy dopiero zdoła otrząść się z więzów szkoły i nadać grze swej życie. Zapewne iż polotu fantazyi, tego życia w grze niepodobna jeszcze żądać od jedenastoletniego chłopczyny; my też nie czynimy mu ztąd zarzutu, ale wyjawiamy jedynie życzenie o jego przyszłość.

Publiczność, przychylna rozwijającemu się talentowi, i uznając istotnie zadziwiającą biegłość gry młodego chłopczyny, za odegraniem każdej sztuki przywoływała go hucznemi oklaskami. Oby kto z mecenasów sztuki zajął się losem tego chłopczyny, który mając w tak młodocianym już wieku zupełne usposobienie na artystę, potrzebuje pomocnej ręki, aby dalej w tym tym zawodzie za granicą kształcić się mógł.

Fortepian ze składu pana Balka, jeden Streichera dugi Bösendorfera odznaczały się dźwięcznością miłą, przy wielkiej sile.

* W niedzielę w teatrze hrabiego Skarbka wystąpili baletnicy, panna Lanner, pan Levasseur i pan Frappart, w balecie Saltarello. Nie był to wprawdzie balet, bo niemamy tutaj corps de ballet. Były tylko sola baletowe. Panna Lanner jest istotnie tancerką pierwszego rzędu. Taniec jej jest nadzwyczajnie lekki, i głównie tą lekkością swoją uderzający. Młodziutka, wysmukła, pięknych rysów twarzy już sama przez się jest miłem zjawiskiem. Słusznie zresztą po występach jej w Krakowie w „Czasie" powiedziano, iż rzuty jej są nieco rozrzucone. Lecz właśnie to jest skutkiem dążenia do nadzwyczajnej lekkości. Więcej by jeszcze zapewne przemawiała wdziękiem ruchów, gdyby nie tyle popisu było powietrznej, sylficznej, bajecznej prawie skoczności. Lecz teraz właśnie taka powietrzność tańcu jest w modzie. Piękna jest postać pana Levasseur, ruch każdy okrągły, pewny, dosyć zgrabny w zwrotach, przy wielkiej sile nigdy jednak w ostre zagięcia nie przechodzący, to wdzięcznie płynący za swą tancerką, to znów rzutnym skokiem jej zabiegający, podobać się musi każdemu. Scena komicznej dansomanii oddana była przez pana Frappart z precyzyą njawiększą. Komiczna mimika i taniec zlały się w

najzupełniejszą całość. Jestto w tym rodzaju niepospolity baletnik. — W ogóle z wielkiem zadowoleniem zgromadzona licznie publiczność przyjęła występujących, okryła licznemi i hucznemi oklaskami. i po kilkakroć przywoływała.

* W niedzielę d. 29. b. m. odbyło się w kościele Archikatedralnym solenne nabożeństwo za ocalenie życia Jego Świętobliwości Ojca Sgo Piusa IX.

JW. proboszcz i infułat x. Ostrawski celebrował in pontificalibus. Przed 10. godziną w przedsionkn czekał z kanonikami i klerem na Jego Cesarzewiczowską Mość Arcyksięcia Karola Ludwika, który przybywszy w galowym powozie, wprowadzony został do prezbiterium gdzie znajdowały się trzy krzesła złocone. Jego Cesarzewiczowskiej Mości, który był w mundurze pułkownika ułanów z ozdobami orderów, towarzyszyli Jego Excellencye Namiestnik hr. Gołuchowski i komenderujący czwartą armią Generał kawaleryi hr. Schlik. Wszystkie władze cywilne i wojskowe tudzież prezes zastępca miasta z wydziałem miejskim zajęli swoje miejsca.

Mszę grano utworu Sznabla pod dyrekcyą katedralnego kapelmistrza p. Piotrowskiego. Graduale kompozycyi p. Baschnego dawniej regenta chori przy tejże katedrze, w którym panna Kłopotowska, uczennica panny Ambros, odznaczyła się miłym głosem i dobrą szkołą, toż samo i w offertorium kompozycyi pana Batkiego. Na końcu wykonano „Te Deum" sławny utwor pana Maschek z koronacyi Cesarza Ferdynanda.

* Tegoż samego dnia i w kościele Śgo Jura JW. Najprzewielebniejszy X. Biskup Sufragan Bocheński w asystencyi całej kapituły i kleru odprawił solenną mszę z Te Deum.

* Pomieszkania dla całej świty wracającego do swej głównej kwatery do Lwowa Jego Excelencyi Jenerała Zbrojmistrza barona Hessa muszą być do dnia 3. maja zupełnie przyrządzone. Również urządzają mieszkania dla towarzyszących mu jenerałów, francuskiego pana Letang i angielskiego pana Crawford.

* Dzisiaj przybył do Lwowa i jutro występuje pierwszy śpiewak opery nadwornej w Wiedniu, tenorzysta p. Steger w operze Ernani, a w sobotę w Lucyi z Lamermmoru.

Przyjechali od dnia 28. do 30. Kwietnia. do Lwowa.

PP. Janko Henryk z Hoszan. Laskowski Wincenty z Tarnowa. Udrycki Wincenty z Krakowa. Borkowski Stanisław i Alfred hrabiowie z Mielnicy. Jabłonowski Józef z Pacykowa. Zaremba Bolesław ze Złoczowa. Bocheński Józef z Głęboczek. Białoskórski Felicjan z Czajkowiec.

PP. Jankowski Ludwik, z Bożykowa. Kalinowski Władysław hr z Bakowiec. Rubczyński Alfred, z Stanina. Dzieduszycki Władysław hr. z Jezupola. Zalewski Leon, z Kolbajowic.

PP Szczepański Władysław z Wiśniowczyka. Nahojowski Antoni z Czernicy. Szujski Piotr ze Zbyszowa. Mierzyński Rafał z Baryłowa. Koch Ernest z Dąbrowicy. Papara Henryk z Zubowych mostów. Walewski Alexander z Kłodna. Czacki Alexander hr. z Krechowa.

Wyjechali od dnia 28. do 30. Kwietnia ze Lwowa:

PP. Dobrzański Stanisł. do Daszawy. Cielecki Ludwik do Łozin. Żurakowski Jan do Zawadowa. Jaremkiewicz Eustachy do Czortkowa.

PP. Badeni hr. do Radymna. Czacki Michał do Stojanowa. Karnicki Feliks do Stojanowa. Antoniewicz Wicenty do Skwarzawy. Tosiewicz Józef do Brzeżan, Jakubowicz Józef do Brzeżan. Golejowsk Jan hr. do Brzeżan. Zachariasiewicz Jan do Surochowa.

PP. Turkuł Tadeusz do Tarnopola. Lewicki Kajetan hr. do Chorostkowa. Zagórski Karol do Podhorzec. Borkowski Stanisław hr. do Mielnicy. Dzieduszycki Wład. hr. do Jezupola. Drohojewski Kaz. hr. do Tarnowiec. Hordyński Stanisław do Przemyśla. Mier Felix hr. do Witkowa. Bogdanowicz Maxymilian do Przemiwółek.

Kurs telegrafowany z Wiednia 30. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$126\frac{5}{8}$	Pożyczka 5% $79\frac{9}{16}$ $4\frac{1}{2}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$92\frac{1}{2}$	Akcye banku	—
Londyn za 1 funt szterl.,	12 24	Kolej północna	$1946\frac{1}{4}$
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	974
Paryż za 300 franków .	$147\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loterya	$109\frac{5}{8}$
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa . .	$83\frac{11}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	49	złr.	5	kr.	53
Dukat cesarski	«	5	»	54	»	5	«	56
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	6	»	10	«	10
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	57	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	53	»	1	«	55
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	92	«	30	»	93	«	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		72	»	50	»	73	»	20
5 proc. pożyczka narodowa		84	»	—	»	85	«	—

Lwów, 30 Kwietnia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 37 złr. 30 kr. do 38 złr. 45 kr. — Żyta po 28 złr. — kr. do — złr. — kr. Jęczmienia po 24 złr. — kr. do 25 złr. 30 kr. Owsa po 17 złr. 30 kr. do 19 złr. — kr. Grochu po 30 złr. — kr. do 32 złr. — kr. Hreczki po 21 złr. — kr. do 22 złr. 30 kr. — Ziemniaków po 11 złr. 30 do 13 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 70 złr. 30 kr. do 79 złr. 30 kr. Sosnowego po 50 złr. — kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. 15 kr. do 6 złr. 15 kr. Centnar słomy 3 złr. 10 kr. do 3 złr. 30 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Do dzisiejszego Numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**